

John L. Allen: Globalna wojna z chrześcijanami [Prześladowania chrześcijan]

Dla wielu ludzi wojna z chrześcijanami toczy się po prostu zbyt daleko. Dzisiejsi męczennicy idą na śmierć na Sri Lance, Malediwach czy w Sudanie, a więc miejscach, które ludzie z Zachodu z trudnością umiejscawiają na mapie, nie mówiąc o osobistym zainteresowaniu losem ich mieszkańców



Dla wielu ludzi wojna z chrześcijanami toczy się po prostu zbyt daleko. Dzisiejsi męczennicy idą na śmierć na Sri Lance, Malediwach czy w Sudanie, a więc miejscach, które ludzie z Zachodu z trudnością umiejscawiają na mapie, nie mówiąc o osobistym zainteresowaniu losem ich mieszkańców - przeczytaj fragment książki *Globalna wojna z chrześcijanami* - Johna L. Allena

Skąd ta cisza?

W 1997 roku amerykański pisarz Paul Marshall powiedział, że prześladowania chrześcijan są niemal całkowicie ignorowane przez świat. Wprawdzie sytuacja zmieniła się w ciągu kilkunastu lat, jakie upłynęły od wydania klasycznej już książki Marshalla *Ich krew głośno woła* [*Their blood cries out*]. Pojawiły się grupy broniące wolności religijnej i niosące pomoc ofiarom prześladowań. Sam temat prześladowania chrześcijan od czasu do czasu trafia na łamy takich popularnych mediów jak „The Economist”, „Newsweek” czy „Commentary Magazine”. Na ogół jednak wojna z chrześcijanami pozostaje najpilniej strzeżonym sekretem świata. Prawdopodobnie najwięcej uwagi chrześcijaństwu poświęcają włoskie media, chociażby z uwagi na bliskość Watykanu. W 2011 roku włoska dziennikarka Francesca Paci wyraziła się o losie prześladowanych w Iraku, Algierii i w Indiach w następujący sposób: „Ignorujemy zbyt wiele spraw, a co gorsza, zbyt wielu spraw usiłujemy nie dostrzegać”.

Również w 2011 roku, podczas konferencji w Londynie katolicki patriarcha Jerozolimy Fouad Twal odniósł się kryzysu trapiącego arabskich chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Zapytał wprost: „Czy ktokolwiek słyszy nasz krzyk? Jak wiele okrucieństw musimy znieść, zanim ktoś pospieszy nam na pomoc?”. Pytania te domagają się odpowiedzi, a zrozumienie motywów milczenia na temat globalnej wojny z chrześcijanami jest dobrym punktem wyjścia.

Przyczyny milczenia w środowisku świeckim

W środowisku świeckim nakłada się kilka czynników, które wyjaśniają względną obojętność wobec globalnych prześladowań chrześcijan. Po pierwsze, wielu sekularystów ma niewielkie osobiste doświadczenie z religią i mogą oni wykazywać ignorancję w sprawach wiary. W niektórych częściach świeckiego środowiska panuje także odruchowa wrogość do zinstytucjonalizowanej religii. Ludzie, którzy przywykli patrzeć w ten sposób, postrzegają chrześcijan raczej jako sprawców represji, a nie ich ofiary. Na dźwięk słów „prześladowania religijne” pomyślą raczej o krucjatach, Inkwizycji, wojnach religijnych, losie Giordana Bruno i Savonaroli, procesach z Salem – słowem o wszystkich rozdziałach historii, gdzie to chrześcijanie obsadzili role złoczyńców. W dzisiejszych czasach dla wielu ludzi „chrześcijaństwo” oznacza męską gerontokrację rządzącą z Rzymu, która uwzięła się na postępowe amerykańskie zakonnice i gwałtownych chrześcijan ewangelikalnych chcących ograniczać prawa kobiet i par homoseksualnych.

Ofiary globalnej wojny z chrześcijaństwem burzą tę narrację, ukazując wierzących w Chrystusa jako prześladowanych, a nie prześladowców. W 2012 roku prawie dwie trzecie z 2,2 miliardach chrześcijan żyło poza światem Zachodu, a w połowie stulecia proporcja ta wyniesie trzy do jednego. Ci chrześcijanie, należący do „niezachodniej” większości noszą często podwójne lub potrójne piętno, nie tylko wyznając „podejrzaną” wiarę, ale też pochodząc z uciskanych grup etnicznych (takich jak Karenowie albo Chinowie w Birmie) czy klas społecznych. Ten ostatni przypadek stał się chociażby udziałem indyjskich dalitów, „niedotykalnych”, którzy nawrócili się na chrześcijaństwo. Ciężar tych faktów powinien zasygnalizować świeckim umysłom, że świat nie kończy się na *Kodzie da Vinci*. Dzisiejsi chrześcijanie nie wynajmują szalonych zamachowców; są raczej zmuszeni sami przed nimi uciekać.

Dla wielu ludzi wojna z chrześcijanami toczy się po prostu zbyt daleko. Dzisiejsi męczennicy idą na śmierć na Sri Lance, Malediwach czy w Sudanie, a więc miejscach, które ludzie z Zachodu z trudnością umiejscawiają na mapie, nie mówiąc o osobistym zainteresowaniu losem ich mieszkańców. Wojna z chrześcijanami jest też niesłychanie złożona, nie ma dla niej prostego wyjaśnienia ani łatwego remedium na nią. To, co mogłoby się sprawdzić w walce z buddyjskim ekstremizmem w Bangladeszu, może być nieodpowiednie w starciu z kolumbijskim narkoterrororem.

Kolejny powód paraliżu zasugerował francuski intelektualista, Régis Debray, lewicowy weteran, który walczył ramię w ramię z Che Guevarą. Debray zauważa, że prześladowania chrześcijan sytuują się idealnie w martwym polu optyki Zachodu. Ofiary, jak stwierdza Debray, są „zbyt chrześcijańskie”, by emocjonowała się nimi lewica i „zbyt odległe”, aby zainteresować prawicę. Polityka Zachodu zachęca zresztą ludzi, by dostrzegali tylko część obrazka. Konserwatywni politycy rzucają się na każdy przejaw islamskiego radykalizmu, lecz nie chcą otwarcie potępić metod, jakimi izraelska polityka bezpieczeństwa wysysa życie z arabskich chrześcijan. Liberałowie czczą znów ofiary prawicowych reżimów w Ameryce Łacińskiej, ale nie są już tak chętni, by przyznać, że reżimy lewicowe równie łatwo biorą na celownik chrześcijan. Niewygodnie im też mówić o nienawiści do chrześcijan w kontrolowanej przez Hamas Strefie Gazy.

Przyczyny milczenia w Kościołach

To, że kręgi świeckie nie przejmują się prześladowaniami chrześcijan, może być rozczarowujące, lecz nie stanowi wielkiego zaskoczenia. Znacznie mniej oczywiste jest, dlaczego zachodnie chrześcijaństwo głównego nurtu nie czyni z tego obiektu zainteresowania. Jeszcze do niedawna można było się zakładać, że gdyby ktoś chciał odwiedzić wspólnoty różnych chrześcijańskich wyznań na Zachodzie, sporo czasu by minęło, zanim usłyszałyby jakiegokolwiek kazanie poświęcone wojnie z chrześcijanami, znalazł grupę formacyjną rozważającą ten temat czy jakiegokolwiek dotyczący jej artykuł w prasie albo książkach o wierze wyłożonych w kościele. Ostatnio sytuacja zaczęła się zmieniać, w dużej mierze za sprawą Franciszka, który o prześladowaniach chrześcijan (oraz wyznawców innych religii) wspomina często, zwłaszcza w kontekście sytuacji w Syrii i Iraku. Wciąż jednak na poziomie politycznym i społecznym kościoły Zachodu jak na razie nie umieściły prześladowań współwyznawców na żadnej liście pilnych spraw, a jednocześnie zajmują się ogromną ilością kwestii mniejszego kalibru.

Jak wytłumaczyć ten oczywisty paradoks, że najbardziej paląca sprawa związana z chrześcijaństwem u progu XXI wieku została przez chrześcijan zapomniana? Jedną z przyczyn została już wymieniona – chrześcijanie z zachodnich społeczeństw zazwyczaj nie mają osobistych doświadczeń prześladowania. Sam jestem dobrym tego przykładem. Wychowałem się na katolika w zachodnim Kansas w latach 70. i 80. XX wieku, a moim jedynym cierpieniem za wiarę było jedzenie paluszków rybnych lub makaronu z serem w piątki Wielkiego Postu. Kiedy zacząłem natykać się na doniesienia o przemocy wobec chrześcijan, moją pierwszą reakcją było postrzeganie ich jako odosobnionych przypadków, a nie jako dowodu na coś powszechnego lub prowadzonego systematycznie. Odchodząc na chwilę od głównego wątku, można wysnuć analogię z klimatem zaprzeczenia, jaki panował,

kiedy ujawniały się pierwsze ofiary molestowania seksualnego w kościele. Nawet jeśli ludzie wierzyli wtedy w pojedyncze doniesienia, rzadko kto postrzegał je jako element większej całości.

W społeczeństwach Zachodu panuje też wreszcie tendencja, która dosięgnęła wielu chrześcijańskich wyznań, aby za podstawową funkcję religii uznawać propagowanie wewnętrznego spokoju. Słuchanie o tym, jak radykalni islamiści w Egipcie wylewają kwas siarkowy na nadgarstki Koptów, aby wypalić wytatuowane tam krzyże, nie sprzyja zaś spokojowi ducha. Wręcz przeciwnie – to niepokojące i niewygodne, a zatem sprzeczne z tym, czego poszukują niektórzy chrześcijanie z Zachodu.

Chrześcijanie są też kształtowani przez społeczeństwa, w których żyją, zaś amerykańscy chrześcijanie często przejawiają krótkowzroczność w spojrzeniu na kulturę. Kiedy większość Amerykanów mówi o „Kościele”, mają oni na myśli Kościół w Ameryce. Mówiąc o „klerze”, myślą o amerykańskich duchownych i podobnie jest u nich z pojęciem „laikatu”. Spójrzcie na najnowsze książki chrześcijańskich autorów w Stanach Zjednoczonych. Wszystko jedno, czy mają oni serce po lewej czy też prawej stronie, czy może ich sympatie leżą w centrum. Wspólny mianownik tych książek stanowi to, że granicą wyobraźni autorów jest brzeg Wielkiej Wody.

Patrząc na problem z bardziej praktycznej strony – większość kościołów to organizacje non profit, zmagające się z wiecznym niedoborem środków. Muszą jakoś zapłacić za prąd, naprawić dach świątyni i utrzymać pastora. Te potrzeby przesłaniają czasem wszystko inne. Co więcej, wśród wiernych występuje pewne „charytatywne

zmęczenie”, ponieważ prosi się ich o wsparcie każdej możliwej akcji humanitarnej i każdego duchowego przedsięwzięcia pod słońcem. Po pewnym czasie obojętnieją na wszystkie slogany związane z dobroczynnością.

Dodatkowy czynnik zubożenia stanowi to, że większość chrześcijańskich wyznań zaangażowała w ostatnich dekadach spore środki w budowanie dialogu pomiędzy religiami. To postęp w stosunku do antagonizmów i strachu wobec innych wiar, które swego czasu przeważały w chrześcijańskiej psychologii, ale też rodzi się w ten sposób ryzyko popadnięcia w „poprawność religijną”. Część chrześcijan może być niechętna mówieniu o problemach swoich arabskich współwyznawców w Izraelu, bo mogłoby to zaszkodzić relacjom chrześcijańsko żydowskim. Inni mogą nie chcieć sporu z muzułmanami na temat prześladowania chrześcijan w społecznościach islamu z obawy przed przyczynieniem się do „zderzenia cywilizacji”. Choć odpowiedzialność za globalną wojnę z chrześcijanami nie powinna być przypisywana całym religiom, strach przed podejmowaniem istotnych problemów w dialogu międzyreligijnym jest jednym z czynników wyjaśniających, dlaczego chrześcijanie nie angażują się w ten konflikt z większą werwą.

Na koniec pozostawiam jeszcze jedną przyczynę tego stanu rzeczy. Rozpaczliwie wiele czasu i zasobów chrześcijan jest marnotrawionych na wewnętrzne spory, co sprawia, że trudno nam zająć wspólne stanowisko w jakiegokolwiek sprawie. Stosuje się to nie tylko do podziałów pomiędzy wyznaniem, ale nawet w obrębie jednego wyznania. Jeśli chrześcijanie mają się zjednoczyć, by skutecznie dać odpór globalnej wojnie prowadzonej z ich siostrami i braćmi w wierze,

jednym z pierwszych wyzwań będzie wyzwolenie się z własnej plemienności. Trzeba rozwijać myślenie „postplemienne”, gdzie to, co łączy chrześcijan, jest ważniejsze od tego, co ich rozdziela.

Czas się przebudzić

Czynniki przedstawione powyżej nadają się na wyjaśnienia, lecz nie na wymówki. Dla świata, a zwłaszcza dla chrześcijan nastał najwyższy czas, by się obudzić.

Nie trzeba być zaangażowanym religijnie, by zobaczyć trudne położenie prześladowanych wyznawców Chrystusa jako naglącą kwestię z punktu widzenia przestrzegania praw człowieka. Podobnie jak nie trzeba było być Żydem, aby troszczyć się o los żydowskich dysydentów w Związku Radzieckim w latach 60. i 70., lub nie trzeba było być czarnym, aby czuć oburzenie wobec południowoafrykańskiej polityki apartheidu w latach 80., nie trzeba też dziś być chrześcijaninem, aby czuć odrazę wobec tortur i mordów, jakich ofiarą padają chrześcijanie.

W dodatku chrześcijanie powinni tutaj czuć się specjalnie zobowiązani. W teologicznym żargonie powiedzielibyśmy, że chrześcijanie mają „powołanie”, by pospieszyć w pomoc swoim cierpiącym braciom i siostram. Chociaż rozmaite wyznania w różny sposób rozumieją akt chrztu, wszystkie podzielają przekonanie, że przez chrzest zostajemy włączeni do Ciała Chrystusa, a zatem cierpienie jakiegokolwiek części tego ciała jest naszym cierpieniem. Święty Paweł w Liście do Galatów nakłada na nas pewien obowiązek: „A zatem, dopóki mamy czas,

czyńmy dobrze wszystkim, a zwłaszcza naszym braciom w wierze”. Chrześcijanie stają dziś przed pytaniem, czy słowa te cokolwiek znaczą, czy też może są tylko pobożną formułą.

Na bardziej praktycznym poziomie chrześcijanie powinni czuć się odpowiedzialni, ponieważ w wielu przypadkach są jedyną siłą, która może cokolwiek zdziałać. Ofiary globalnej wojny są często niechętnie do zgłaszania swoich krzywd, do sądowych oskarżeń, do upubliczniania swojego cierpienia w mediach. Boją się konsekwencji publicznych wypowiedzi i będą rozmawiać o swoich doświadczeniach wyłącznie z ludźmi, którym ufają, co oznacza ich współwyznawców. Chrześcijanie są często jedynymi ludźmi, którzy mają możliwość zebrać dane o tym, co się dzieje, oraz jedynymi, którzy są w stanie zbudować relacje z ofiarami i na podstawie rozmów z nimi wywnioskować, jakie trzeba podjąć kroki.

Oprócz nakazów moralnych i duchowych są także trzy inne powody, dla których troska o prześladowanych braci w XXI wieku jest pożyteczna dla duszy chrześcijanina.

Po pierwsze, obrona prześladowanych chrześcijan może być znacznym dobrodziejstwem dla ruchu ekumenicznego, co oznacza scalenie rozproszonej rodziny chrześcijańskiej. W XX wieku pionierzy ruchu ekumenicznego mieli w pamięci żywe jeszcze doświadczenie gułagów i obozów koncentracyjnych, gdzie katolicy, prawosławni i protestanci tworzyli jedną wspólnotę w cierpieniu. Takie samo doświadczenie ma miejsce w dzisiejszych czasach i może mieć podobny wpływ na proces ekumeniczny. Po drugie, obrona prześladowanych chrześcijan może pomóc ich współwyznawcom na Zachodzie uporać się z wewnętrznymi

konfliktami. Po trzecie, świadectwo męczenników ma wyjątkową moc duchową, zatem im bardziej będą znane ich żywoty, tym zdrowsze będzie chrześcijaństwo na całym świecie.

John L. Allen

Fragment z książki *Globalna wojna z chrześcijanami*